Janina Łagoda

Sytuacja paradoksalna, bo wbrew temu, co dzieje się pod sejmową kopułą i dociera do wyborców, a sensacja goni sensację, to w rzeczywistości parlament stał się jednostajnym maneżem wzajemnych licytacji dwóch partii: zwycięskiej – Prawa i Sprawiedliwości (PiS) oraz przegranej – Platformy Obywatelskiej (PO), która z koalicyjnym Polskim Stronnictwem Ludowym (PSL) zakończyła z końcem ubiegłego roku ośmioletnie rządy.
Pozostałe ugrupowania, okupujące elektorskie ławy, tj. Kukiz´15 i Nowoczesna, ale i PSL również, stały się jedynie przystawkami w zasadniczym werbalnym pojedynku: PiS-PO. Ten bezsensowny spór przełożył się zarówno na samopoczucie rodaków, jak i na nasze międzynarodowe relacje. Przykładów mnogość, zaś konstruktywnych relacji, jak na lekarstwo. Kierat nie wyhamowuje i w jednostajnym rytmie napędza żarna mielące dotychczasowe reguły funkcjonowania państwa. Nowe komponenty dodawane do tego urobku tchną kontrowersjami. Adwersarze pozostają przy swoich zdaniach, bo taki ich model konsensusu, nieskażony kompromisem.

Precedens

Od czerwcowego plebiscytu z 1989 roku pierwsza to taka sytuacja, kiedy jedno ugrupowanie może powoływać rząd, pozostając w nieodległej taktycznej możliwości korekty, a nawet uchwalenia nowej ustawy zasadniczej. Takie są realia i nikt tego kwestionować nie może, bo zadecydował elektorat, a w tym punkcie arytmetyczna formuła demokracji jest nieubłagana. Problem zasadza się na tym, aby jak najlepiej ten sukces przełożyć na oczekiwania wyborców, ale i na pomyślność innych, bo rząd, parlament, prezydent, to nie tylko instrument dbałości o danie satysfakcji partyjnym kolegom i zdeterminowanej grupie wyborców, lecz i reszcie społeczeństwa, także tej najbardziej biernej. Rządzący powinni pozostawać w dystansie do promującej ich partii, bo tylko taki układ może im sprzyjać. Działania tych wektorów są oczywiste. O tej prostej konstatacji często się zapomina. Sukces jednych, dla innych może być niewygodny. Przykładów intelektualnych przykurczy bez liku.
Zwycięzcy zawłaszczają wszystko wedle partyjnego klucza, bo przecież zwyciężyła partia i nic z tego, że nie są to głosy wyłącznie jej członków, ale także tych, których udało się różnymi sposobami przekonać, przynajmniej chwilowo, do głoszonych haseł. Taka to optyka, królująca w ostatnim ćwierćwieczu na partyjnych podwórkach. Pewnym hamulcem w rewolucyjnym podchodzeniu do problemów funkcjonowania państwa była dotąd konieczność tworzenia rządu koalicyjnego. Tym razem tak higienicznego bezpiecznika nie ma. Ale i wcześniej partyjne targi, może bardziej wysublimowane miały się znakomicie. Popyt interesów jednak determinowała ich podaż, a więc i tutaj wkroczył kapitalizm. Nie zawsze udawało się przebić wygórowane ceny, ale żadna to gwarancja wysokiej jakości zarządzania państwem. Ponad wszelką wątpliwość dobrą sprawą takich okoliczności było to, że w pewnych granicach wymuszały konieczność kontynuowania dotychczasowych, już sprawdzonych rozwiązań personalno-organizacyjnych. Ostrza rewolucyjnych odruchów się stępiały. Natomiast dzisiejsza jakość brzeszczotu osiągnęła niewspółmierny stan polityczności o niemal totalnym zasięgu, do koni arabskich włącznie. Nastało inne przełożenie, bo wszystko rozgrywa się w obrębie jednej partii i pod wnikliwym okiem wodza. Centralizm zarządzania wygraną, to znane w polityce rozwiązanie, mające swoje

zalety i wady. Rzecz w tym, aby te ostatnie nie przysłoniły pierwszych. Rzadko się to udaje, a jeśli już to trwa krótko. Historycznych przykładów wiele. Dzisiaj jeszcze nie czas na szufladkowanie czynów zwycięzców. Pora jednak na wnikliwą obserwację form i metod urzeczywistniania programowych dogmatów. Wszystko to jest sytuowane w społeczno-gospodarczej sferze i podlegać będzie elektorskiemu osądowi. Problem w tym, że rządzenie państwem, to więcej niż administrowanie partią. Ten truizm nie może zostać zatracony, bo rządzący muszą także uwzględniać nadzieje pozostającym poza dystansem politycznego angażu, ale pracującym na suwerenny byt ojczyzny. Jedni czynią to z ogromnymi efektami, innym trzeba pomagać. Rządzący muszą również wobec nich wypełniać swoje powinności. Jakiekolwiek zakłócenia w tych obszarach będą procentować fatalnymi wyborczymi skutkami, co wówczas będzie trudno nazwać dobrą zmianą.

Sejmowe pojedynki

Układ polityczny wyłonionego parlamentu jest nadzwyczaj czytelny. Są posłowie i senatorowie dominującej partii, którzy bezkonfliktowo utworzyli rząd spośród własnych pretorianów oraz parlamentarzyści kilku wcześniej wspomnianych partii opozycyjnych, gdzie na eksponowanym, ale i cenzurowanym miejscu pozostaje PO. Ośmioletnie rządy zasługują na szczególną uwagę, zwłaszcza w poselskich obrachunkach. Dowodów tego wiele nie tylko ze strony PiS, ale i niektórych partii opozycyjnych, zwłaszcza Nowoczesnej, która ma ambicje przejęcia elektoratu PO i stania się liderem opozycji. Nie powinna jednak zatracać z pola widzenia faktu, że jest ugrupowaniem o niewygórowanej liczebności, a przy sejmowej przewadze PiS opozycja musi bardzo precyzyjnie ważyć własne partyjne apetyty. Dotyczy to także pozostałych ugrupowań, których wspólnym mianownikiem ambicjonalnych pretensji winna pozostawać skuteczność, na miarę możliwości każdego z nich wobec niektórych poczynań dominującej partii. Jakiekolwiek animozje w opozycyjnych ławach, dyktowane partyjnym egoizmem, to wysoce kaloryczne paliwo dla marginalizowania przeciwników przez rządzących.
Przebieg obrad parlamentu, to schematyczna wymiana ciosów pomiędzy PiS i PO. Argumenty różne, ale o wspólnym mianowniku. Jedni twierdzą, że dotąd rządzono źle, doprowadzając kraj do ruiny i teraz trzeba poprawiać błędy. Drudzy trwają przy swoim zdaniu, że kraj zmierzał w dobrym kierunku. Słowo przeciw słowu, a Polska, ta oddalona od Wiejskiej kroczy w takt własnego rytmu. Najczęstszym sposobem oznajmianego remontu Rzeczpospolitej jest wkraczanie w sprawdzone koleiny poprzedników, a jest nim przykładowo tradycyjny, lecz wielce szkodliwy, o czym wszyscy wiedzą, tzw. przegląd obsady personalnej stanowisk. Wyświechtany to sposób premiowania osób zaangażowanych w kampanijny wyborczy sukces. Zabieg spektakularny, bo robiący dobre wrażenie na elektoracie w stylu: wreszcie coś się dzieje i jednocześnie dający stosowne profity wybrańcom, zważywszy że towar to reglamentowany. Dotąd nie wymyślono bardziej subtelnej metody materialnych gratyfikacji, mimo biadoleń i rozdzierania szat nad taką formą politycznego podporządkowywania nominatów. Jest to punkt styczny wszystkich parlamentarnych zwycięzców ostatniego ćwierćwiecza. Różnice sprowadzają się jedynie do stopnia brutalności w korzystaniu z tej formy płatności.
Innym tematycznym blokiem parlamentarnego dwuboju pozostaje licytacja tego, co poprzednicy dokonali lub zaniechali, a rozwiązaniami ordynowanymi przez nowych decydentów. Są to starcia na punkty, a nie nokautujące oryginalnością. Projekty zmian rządzących, opozycja dla zasady oprotestowuje mając świadomość, że los zgłaszanych uwag jest przesądzony. Ta ekwilibrystyka przynosi efekty, bo rząd w błyskawicznym tempie pozbył się tła kampanijnego

gruzowiska i premier rządu już występuje w optymistycznej scenerii spowitej biało-czerwonymi flagami, szczelnie przysłaniającymi unijne barwy i nieważne, że nowe budowle na tle których teraz występuje, stamtąd właśnie zyskują finansowe zasilanie. Kraj zaczyna promieniować i to zaledwie w ciągu stu dni nowych rządów. Okazuje się, że dla pomyślności kraju wystarczają mało kosztowne urny wyborcze z właściwym farszem oraz powyborcze propagandowe inscenizacje.
Głosy pozostałych ugrupowań są wysłuchiwane w trybie przypominającym mowy końcowe oskarżonych. Dopóki ze strony zwycięzców nie będzie woli do przynajmniej umiarkowanego dialogu, mimo składanych przyrzeczeń, dopóty każda ekspresja mniej lub bardziej słusznych refleksji ze strony opozycji pozostanie zaledwie blankietowym zapisem w sejmowych annałach. Z drugiej strony należy przypuszczać, że dotychczasowy stan parlamentarnej przewagi będzie ewaluował w kierunku koncyliacji, a przynajmniej osłabi własny egoizm, chociaż nie jest to takie pewne. Natomiast niewątpliwy będzie rosnący rejestr niewykonanych lub źle zrealizowanych wyborczych obietnic, ale i innych technicznych czynów podejmowanych przez rządzących. Chwilowo w tym starciu przegrywa opozycja, ale nie wyłącznie dlatego, że zwyciężyła z naddatkiem jedna partia, lecz również z powodu trudności
w zwieraniu szyków i to od parlamentu po gminę. Ambicje wodzów niekiedy rozsadzają zdrowy rozsądek, a to już się przekłada na zadowolenie prawego prezesa, który niewiele musi czynić w obronie swojego sukcesu. Poza tym w odwodzie ma, poza desygnowaną przez siebie premier także wypromowanego prezydenta. A tak na marginesie, to już jego druga promocja najważniejszej osoby w państwie. Przypadek, czy polityczna skuteczność?
Jakby nie patrzeć na ten powyborczy pejzaż, to w najbliższym czasie debata sejmowa będzie stanowiła z jednej strony mieszaninę dosadnych postulatów
i krytycyzmu z ław opozycji wobec sugestii rządzących, a po stronie władzy dostrzeżemy brutalny kunszt parowania ciosów i forsowania własnych przemyśleń, które mają wpisywać się w mocarstwowość RP numerowanej wedle partyjnej narracji. Banalne to i nudą owiane aktorstwo, a i epilog tej sztuki nietrudny do odczytania. Tak na dobrą sprawę parlamentarny spektakl mógłby trwać w nieskończoność, gdyby nie jego merytoryczne konsekwencje. Wiele już było takich mikstur, których efektywność pozostaje w sferze dyskusji. Nadal nie dysponujemy patentem na konstrukcję obwodnicy o koncyliacyjnym układzie. Tkwimy więc w sejmowym werbalizmie, a świat umyka. W swoim przekonaniu rządzący mają rację, opozycja również. Korekty są niedopuszczalne. Wegetowanie przy własnym zdaniu, to nasza recepta na narodowy konsensus. Konia z rzędem temu, kto zgłębi tajemnicę tej egoistycznej wiary.

Pozaparlamentarne naciski

W sejmowym matematycznym wzorcu bezkolizyjne stanowienie prawa to prosty zabieg. Ważą zdyscyplinowane ławy jednego ugrupowania. I tutaj również dotykamy monotonii. Pewnym urozmaiceniem, ale i przesłaniem dla obradujących pod wiejską czaszą są, jak dotąd, pokojowe uliczne perswazje. Pamiętać wszak należy, że tłum rządzi się własnymi prawami, a zachowanie jego uczestników jest równaniem się do jednego poziomu i nie zawsze o pozytywnym odczycie. Panowanie nad tłumem, to przywilej niewielu. Nad tego rodzaju ulicznymi ekspiacjami krąży widmo ekscesów, a one z kolei niweczą dobre intencje organizatorów tej formy społecznej presji.
Jest to ryzykowny sposób wywierania nacisku na sejmową większość. Ale przecież też nie można wykluczyć kontrmanifestacji popierających rządzących. Linia demarkacyjna politycznych

odczuć w społeczeństwie jest chybotliwa na miarę trudno przewidywalnych sejsmicznych drgań. I wcale nie musi to być jedność czasu oraz miejsca, aby górę wzięła subkultura wzbogacona fizycznym orężem, a nie merytoryczna dyskusja nad dobrem państwa. Zresztą trudno wysupłać z ulicznych fascynacji rzeczową argumentację co do racji zarówno tych sprawujących władzę, jak i opozycji. Dominują emocje, których nie sposób wtłoczyć do jakiegokolwiek podręcznika o zasadach racjonalnego zarządzania państwem. Wedle dotychczasowych historycznych notowań tego rodzaju emocjonalna wiecowo-marszowa dysputa wpisuje się w ciąg sporu przy nieobecności wcześniej poturbowanego konstytucyjnego arbitra. Wyroki więc będą zapadały w trybie wojenno-polowych osądzeń, bo nadal ponoć toczymy niezłomną walkę o wolność, niepodległość, równość etc. Okazuje się, że klasyka tych haseł nadal inspiruje umysły naszych władców. Są one artykułowane przy wszelakich okazjach, także tych smoleńsko-funeralnych miesięcznicach oznajmianych ze skromnego prezesowskiego piedestału sprzed Prezydenckiego Pałacu, w którego oknach migocze płomienna aprobata dla tej formy rozmawiania ze społeczeństwem. Formuła nader prowokacyjna, a obecność różańca i krzyża miast łączyć, dzieli.

Lewicowe eksploracje

Pierwszy raz od z górą ćwierćwiecza, a więc od momentu podarowania nam niepodległości przez możnych tego świata, o czym już dzisiaj zapominamy, bo
i wyzwolenie spod wojennej okupacji też wstydliwie przemilczamy, parlament został uwolniony od lewicowej reprezentacji, która stanęła przed biblijną Ścianą Płaczu. Katastrofa? Jeśli tak, to przez lewicę sprokurowana. Dowodów wiele, a refleksji jak na lekarstwo. Kajanie się nad klęską, to jedna sprawa, ale zdefiniowanie tego, co dalej, to rzecz najważniejsza. A tutaj, jak dotąd, jedyną formą nowej zmiany stała się rejterada wielu lewicowych działaczy z dotychczasowych form organizacyjnego przyporządkowania i podjęcie bezprzykładnego wysiłku poszukiwania nowej formuły działania. Jaskrawo to się mieni w przypadku Sojuszu Lewicy Demokratycznej (SLD), partii o rozpoznawalnym znaku firmowym, różnie ocenianym, ale jednak… Część jej funkcjonariuszy zbuntowała się. Paradoksalnie rokoszanami są ci, którzy nieskutecznością swoich działań również zapracowali na mizerię lewicy. Reszty dopełniła personalna frustracja po wyłonieniu nowych władz SLD. Nie jest to najlepszy sposób przerzucania na innych odpowiedzialności za przyłożenie się do niepowodzenia macierzy. Ze strony tych zbuntowanych, to płytka refleksja.
Tworzenie nowych struktur o ponoć lewicowej orientacji ma blichtr przejawu poszukiwania optymalnej formuły ideowej ofensywy, ale równie dobrze może zostać odczytane jako podwalina pod partyjny urząd pośrednictwa pracy. Oby punktami odniesienia niecierpliwych dysydentów nie stanowił wyłącznie zamysł angażu na Wiejską, do Brukseli, do samorządu terytorialnego, do spółek skarbu państwa etc. Dla obserwatorów lewicowej personalnej kotłowaniny, to niełatwa do rozwiązania szarada. Sprawę może rozwikłałby niekwestionowany przywódca, a takiego na lewicy chwilowo trudno wypatrzeć. Miast działaczy objawili się partyjni urzędnicy, którzy dotąd spoza biurek kreowali się na wybitnych. Efekty tego są znane, ale i ich moc sprawcza również. Partyjne rozdrobnienie, to naturalny ciąg ku zanikowi formacji. Destrukcja wszelakiego dobra przychodzi z łatwością, ale wznoszenie solidnej budowli, to trudność ogromna. Może przyszłość okaże się łaskawa.
 Dzisiejsze komunikaty ze strony prekursorów odnowy lewicowego ruchu, tchną odwagą, której wcześniej im brakowało. Postanowili więc obdzielić przyczynami klęski innych, a sami tworzyć

nowe struktury o ponoć lewicowej orientacji. Dziwna to formuła ablucji, bo pozbawiona ideologicznego przesłania. Górują, jak dotąd personalne animozje. Przykład, to niektórzy radni samorządowi z lewicowego namaszczenia, którzy w owczym ruchu opuścili szeregi SLD. Zabrakło refleksji ale i negocjacyjnych talentów. Bunt jako forma negacji stanu faktycznego ma szansę na sukces, jeśli posiada społeczną (czyt. elektorską) aprobatę. W tym przypadku trudno o taki wniosek. Może są to nieźli partyjno-samorządowi administratywiści, ale o skromnych umiejętnościach porywania tłumu. Proces rozpraszania lewicowych formacji trwa w najlepsze, a rozsądnego lepiszcza brak.
Lewicowych formacji może być bez liku, lecz wyznacznikiem ich skuteczności musi być jedność, podcyfrowana wspólną myślą, a nie bratobójczą walką. Zasady współistnienia są proste. Należy zdefiniować obszary ideologiczno-terytorialno-merytorycznych zmagań i wyłuskać jeden kierunek ofensywy, pozostawiając każdemu ugrupowaniu swobodę w wyborze drogi dochodzenia do uzgodnionego celu, na co już dawno temu wskazywał m.in. Ernst Jünger (1895-1998) w eseju Łączcie się. W tych odniesieniach bodaj najważniejsza jest umiejętność kompromisu. I tutaj lewica w swoim planktonowo-urzędniczym rozmnażaniu ugrupowań, pozostaje w dystansie wobec wspólnego mianownika. Tym samym nie odbiega od reszty sceny politycznej. Zawsze jest łatwiej o takich działaczy, którzy po wyczerpującej gabinetowej robocie powalają wieżę, ale doskonalszej wznieść nie potrafią. Brakuje im utalentowanego konstruktora. Lewicowy elektorat istnieje i jest niemały, a dodatkowo pomnaża go kapitalizm w rodzimym wydaniu. Nie wolno jednak potencjalnych wyborców eksploatować
w egoistycznym zamyśle i to najczęściej dla prolongowania trwania funkcjonariuszy na partyjnych etatach. A tak to ostatnio się działo, na co zwrócili uwagę wyborcy i dali wyraz wobec instytucjonalnych szyldów lewicowych zgrupowań. Wyborczymi kartkami obdarzyli innych. Nie zawsze czynili to z przekonaniem, ale zaufali – przynajmniej chwilowo – proletariackim hasłom umieszczonym w prawicowych programach. Efekty tego rozczarowania już doświadczają. I w tym punkcie zderzamy się z kolejną niedorzecznością polegającą na tym, że za przyzwoleniem, ale i aktywnym udziale tzw. klasy robotniczej wywalczono na powrót kapitalizm, po wieloletniej jego nieobecności
w RP, który teraz usiłuje się zwalczać. Historia się zapętliła. Udział w tym mają wszystkie ugrupowania od prawej do lewej strony. Pierwotnym zaś zaczynem było ponadpartyjne solidarnościowe poruszenie lat osiemdziesiątych. Wówczas wprawdzie nie było mowy o powrocie kapitalizmu, ale o socjalizmie z ludzką twarzą. Wyszło jak zawsze. Dzisiaj próbuje się cywilizować tę formę gospodarki. Wyniki mierne, bo czego można oczekiwać od tzw. ideowych społeczników, którzy stoją w rozkroku między tzw. lewicową wrażliwością a okupowaniem atrakcyjnych posad w kapitalistycznym sektorze. Jakoś trzeba żyć, ale ważna jest też formuła źródeł finansowego zasilania domowego budżetu. Preferowany jest umiar, który ma niestety rozległą interpretację. Dobrymi przykładami w tym zakresie nie są także dawni tzw. opozycjoniści, z których spora część dzisiaj legitymuje się wielomilionowymi kapitałami. Robi to wrażenie w zestawieniu ze statystycznymi średnimi krajowymi zarobkami. Kiedyś drażniły ich wcale niewygórowane pensje rządzących, a dzisiaj swoje apanaże przyjmują ze zrozumieniem. Byt określa świadomość. I tak bezwiednie wpadają w objęcia klasyków.

* * *

Demokracja, aczkolwiek wymysł starożytnych, toczy się utartymi koleinami, a w nich zawsze był ważny pluralizm. Bezwzględny to warunek administrowania państwem. Lewica,

skondensowana w zinstytucjonalizowanych ugrupowaniach ukazała swoją niemoc. I dzisiaj nie pora na aukcyjny młotek, ale na budowę jednolitego frontu. W tym punkcie tkwi sukces bądź przegrana. Operowanie hasłami w stylu, że po klęsce lewicy, należy na nowo odkrywać lewicowość, to wieszczenie kolejnej katastrofy. Młodość ma swoje prawa, ale dojrzałość również. Pojednanie demograficznych przedziałów, będzie niewątpliwym sukcesem, bo ideowe wartości utrzymują się poza wiekową statystyczną żonglerką. Gruzowisko zaś nie może stać się bezpieczną opoką.
W społecznym impulsie tkwi energia dla korygowania zafundowanego wyborczego mętliku. Jeśli nie ustanowiono równi pozaparlamentarnego dialogu, to jedyną formą takiej rozmowy pozostaje ulica. Jest to rozpaczliwy, bo ekstensywny wariant bez względu na motywy i historyczne konotacje.
Ugrupowania lewicowe, abstrahując od motywów ich sformalizowanego zaczynu, nie mogą wybiórczo unikać historii pracowniczych zniewoleń i walki z nimi. Tutaj też waży przeszłość, ale przede wszystkim nauki z niej płynące dla konstruowania pracowniczej ochrony. Lekceważenie rodowodu zmagania się z kapitalistycznym obskurantyzmem zniekształca wektor lewicowej orientacji. Lewicy podobnie, jak i prawicy nikt przecież nie zabronił uprawiania polityki historycznej, pod jednym wszak warunkiem, że będzie docierała do korzeni i służyła przyszłości, a nie mundurowaniem żołnierzy wyklętych tylko po to, aby wspomnienia wielu świadków tamtego rzekomo niezłomnego bohaterstwa, łzawiły oczy.
Inna kwestia to ta, że warto byłoby, aby wygrani i opozycja krytycznie pochyliły się nad skutkami swoich czynów. Fantazja nadal ściga się z polityczną utopią. W tym punkcie poprawna analiza marksowskiego dzieła nie byłaby odrażającym środkiem korygowania rzeczywistości. Nie wstydźmy się zachodnich przykładów, gdzie kolejne edycje Kapitału rewolucji nie sprokurowały, ale na pewno pobudziły refleksję. Obszerne to pole dla urzędujących lewicowców, oby nie przysnęli w wyborczych subwencjach, bo entuzjazm to również ludzka cecha i też zyskami może obfitować. Problem w tym, że nastała era monotonii w wydaniu rządzących, którzy ją wzmacniają szpikując odnośnikami do poprzedników, których się obwinia nawet za nietrafność własnych już suwerennych decyzji. Unikatowy to i zarazem smutny obraz zarządzania państwem, przypominającym przedszkolną zabawę: ja zbroiłem, ale kolega jest winny, albo dorosłe pojmowanie sprawiedliwości: kowal zawinił, zaś Cygana powiesili. Wyrachowana to maniera, ale umożliwia bycie w publikatorach, zwłaszcza kiedy ma się niewiele do powiedzenia o własnych dokonaniach. Utyskiwanie na innych, to tandetny wypełniacz rzekomej politycznej ważności wygłaszającego te naiwności. Sprawa o tyle sugestywna, że tym razem główny nurt parlamentarnych kłótni toczy się w jednej rodzinie o solidarnościowych przodkach. Daje to sporo do myślenia, także o szlachectwie intencji narodowego poruszenia lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Szlachectwo zachowań nadal pozostaje w cenie, bo przetargowych szarpanin w tzw. wolnościowym gronie bez liku, także na pozaparlamentarnym boisku.
W katolickim kraju gdzieś się zapodziała ewangeliczna przypowieść o przebaczaniu i miłosierdziu, zawarta w prostym stwierdzeniu: odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone (Mat. 6:12.15). U nas jest inaczej, bo i nasza praktyczna religijność, to najczęściej fizyczne uczestnictwo w niedzielnych i innych świątecznych nakazach, podczas których góruje znak pokoju, ale tuż po tym geście na powrót trafiamy w moralną gmatwaninę wartości, a i liturgia mająca działać na rzecz ludu nie zawsze obnosi się skutecznością. Odrębny to problem wymagający rzetelnej analizy. Może również w tym punkcie doczekamy się dobrej zmiany, także po stronie lewicy i zakończymy niechlubny proces wzajemnego obwiniania się za

współudział w politycznej niemocy, chociażby na modłę reguł praktykowanych za watykańskimi bramami, gdzie wyjątkowo trudno odnotować w publicznej przestrzeni, aby papież bądź szefowie watykańskich kongregacji (ministerstw) wygłaszali złe słowa o swoich poprzednikach. Warto i z tego modelu zarządzania państwem wyciągać wnioski. Pomocnym skryptem może okazać się chociażby Spiżowa Brama T. Brezy (1905-1970), nie wyłączając bogactwa późniejszych polsko-laterańskich doświadczeń.

Janina Łagoda